

# Będzie nowy teatr?

—dwugłos o premierze sztuki

## Jerzego Andrzejewskiego

Premierę, od której wypada uwierzyć w Teatr Dramatyczny w czas rządów Jacka Andruckiego, poprzedziła ciekawość ze zrozumiałych względów większa niż zwykle. Nowy dyrektor, sporo nowych aktorów — będzie nowy teatr? Darujmy sobie mniej i bardziej zawile spekulacje przedpremierowe, podsypane z rozmysłem przez nową dyrekcję, nigdy dotąd w Białymstoku przez Dramatyczny nie uprawianą reklamę w stylu estradowym. Mówiło się — parafrazując anegdotę o Bibliotece Aleksandryjskiej — że jeśli przedstawienie będzie dobre, to reklama jest niepotrzebna, a jeśli zła — to szkodliwa etc., zapominając, że już z górą sto lat liberalny polityk i romantyczny poeta Lamartine dokonał tyleż błyskotliwego co prawdziwego odkrycia, iż „Nawet Pan Bóg potrzebuje bicia dzwonów”. Cóż dopiero teatr!

Dyrektor i reżyser Andrucki postanowił w dzwon uderzyć także na spektaklu. Gest ten zdaje się wpływać po równo z przemyślną naturą artystyczną jak i z determinacją. Słusznie bowiem wydaje się rozpóźnienie zastanego pola gry jako dość zaawansowanej drzemki po jednej i po drugiej stronie teatralnej rampy. Budzenie rozpoczyna się od razu z chwilą wejścia na widownię. Otóż w ostatnim rzędzie reżyser posadził perkusistę i kontrabasistę, odpowiednio podświetlonych i nagłośnionych, których granie stwarza klimat niepokoju, oczekiwania na coś niezwykłego i dramatycznego. Kontrabas Jacka Kaczyńskiego i perkusja Jerzego Nowickiego będą zresztą towarzyszyć całemu spektaklowi w sposób trafny, sugestywny, przejmujący. Prawda, że momentami jest to już nawet na granicy wytrzymałości uszu publiczności, ale jako się rzekło — ambicją reżysera jest przetrwanie teatralnej drzemki...

Są też z tej przyczyny niejaki strach w warstwie dźwiękowej przedstawienia, gdy na przykład Zeus gromowładny się wścieka, to zza kulis lecą grzmoty w takiej ilości decybeli, że robi się cokolwiek za dosłownie, żeby nie powiedzieć groteskowo. Podobnie rzecz ma się z zakulisową serią z pistoletu maszynowego. Takie przypomnienie widzowi, że mit Prometeusza jest ciągle aktualny, zdaje się być — powiedzmy — mało delikatne. To ja już wolę „perliste” w roli boskiego nektaru, a nawet szlagier z kręgu „Daj mi tę noc” na Olimpie. To też w spektaklu było.

Jednym z rzucających się w oczy zabiegów o teatr inny, ciekawszy, a nawet zaskakujący w pejzażu białostockim, było wybudowanie do „Prometeusza” dużego pomostu biegnącego od sceny przez całą niemal widownię. Pomost jest potrzebny kilka razy. Na początku, gdy przechadzają się po nim Przemoc i Siła, gdy pojawia się Temida, i na końcu, gdy przybywa Herakles. Za każdym razem pomost „zagrał” jak trzeba, choć jego użyteczność można odmierzyć w sekundach. Przemoc i Siła

Teatr Dramatyczny im. A. Węgierki w Białymstoku Jerzy Andrzejewski — „Prometeusz”  
Adaptacja i reżyseria — JACEK ANDRUCKI  
Scenografia — MARIAN FISZER  
Muzyka — JACEK KACZYŃSKI i JERZY NOWICKI  
Premiera — 26 października 1985 r.

wśród premierowej publiczności — to przejryste; Temida na widowni — to piękne. Herakles — człowiek przybywający na Olimp — scenę z widowni — to oczywiste. Pierwsze „wejście” scenografa Mariana Fiszera

przewodzi na myśl ponure zaplecze komisariatu. Przemiana takiego wnętrza na Olimp przy podniesionej kurtynie jest istnym cudem, a staje się możliwa dzięki użyciu ogromnych kukieł, które z wdziękiem nadmarionety przesuwały się na plan pierwszy. Te figury to znaki bogów. Po części kolumny, po części posągi, a w całości zdeformowane, dramatyczne i przeżarte namietnościami. Odwracają się ku widowni ukazując jeszcze bardziej poszarpane „wnętrza”, które okazuje się być zasiedlone przez żywych ludzi — oni zagrają rolę bogów. Jest to na prawdę scena znakomita, imponująca plastycznie, treściwa i obiecująca.

Ale oto wloką Prometeusza, dobroczyńcę ludzkości i złodzieja boskiego ognia, na Zeusowy sąd. Tutaj reżyser dokonał zabiegu co najmniej odważnego. Ni mniej ni więcej tylko dosłownie, jak najprawdziwszymi łańcuchami przykuł głównego bohatera na środku sceny tak, że unieruchomionemu Rafałowi Zabińskiemu ze środków aktorskich pozostało tylko mówienie, stanie i leżenie. To trochę komplikuje sceniczne dziejstwo, zwłaszcza że pozostali aktorzy też zachowują się jakby byli przynajmniej częściowo skrepowani. I tak teatr dźwięku i obrazu przemienia się w teatr mówienia. Rzecz jest o władzy, o towarzyszącym jej lęku przed tej-

że władzy utratą, o poświęceniu, odwadze... Rzecz piękna, mądra i nudna. Nie sądzę, żeby sposób podawania tekstu jaki wybrał Andrzej Redwans w roli Zeusa, ani też reszta jego boskiej rodziny, mogła kogoś porwać czy choćby głębiej wzruszyć. Tego w teatrze nie da się zrobić przez głoszenie najwspanialszego nawet traktatu.

Tak naprawdę to zagrała w „Prometeuszu” tylko trójka aktorów: Halina Winiarska jako Temida, patetyczna ale w niezłym stylu, Sławomir Józwiak jako Hermes, młody ale przebiegły posłaniec Zeusa i zagrał też, prawie cały czas zakuty w łańcuchy, Rafał Zabiński.

Kiedy już znużenie dywagacjami, jak powiada sama Hera nieco skomplikowanymi, daje się widzieć, widać, że reżyser wpuszcza na scenę imponującego Heraklesa. Po krótkiej walce, która była przeciw ulubionym zajęciom greckich bogów i herosów, teatr Andruckiego

wraca do tego o czym się zaczął: do dźwięku i obrazu. Następuje całkowite obnażenie Prometeusza, który staje wobec widzów nagi, bezbronny i mityczny. I taki właśnie wymyślony przez ludzi bóg rusza między ludzi, wyzwolony przez człowieka — Herkulesa, cierpiący dla człowieka, zastygający wreszcie w ramionach Temidy na kształt archetypu Piety.

Obraz osiąga szlachetną głębię na chwilę przed ostatecznym zgaśnięciem, a widz zostaje w ciemności z szaloną muzyką, brzmącym jeszcze w uszach nakazem — idź!

Trudno się przy tym oprzeć wrażeniu, że „Prometeusz” miał początek i koniec. Tylko początek i koniec. Cały środek tej dziwnej konstrukcji przypominającej węży, który składa się z łba i ogona, przepada wobec tych scen najmocniejszych, najbardziej znaczących.

ANDRZEJ KOZIARA



Rafał Zabiński (Prometeusz)

Fot. Andrzej Wrzesień

# Nagi Prometeusz

Wszystko zaskakiwało nowością: reklamy na ulicach miasta i w kinach, umieszczona w przeddzień premiery rzeźba nad wejściem do teatru, kształt zaproszeń, a nawet starannie wydane programy. Po raz pierwszy od kilku lat nie udało mi się zauważyć przy wejściu tzw. zorganizowanej grupy, ba, nawet przy kasach biletowych (co już zakrawa na cud!) utworzyły się kolejki.

Ciekawość narastała z każdą minutą. „Prometeusz” to bowiem nie tylko pierwsza inscenizacja przygotowana przez nowego dyrektora białostockiego teatru Jacka Andruckiego, ale także zapowiedź zmian, reform, jakie w teatrze się toczą. Białostocki przybytek muz, jak żaden inny chyba w Polsce, po latach niezbyt twórczego, mówiącego oglądnie, trudu potrzebował ludzi, którzy przestaną traktować go wyłącznie jako placówkę muszącą wykazać się odpowiednią statystyką premier, czy zajętych krzesel. Kilka ubiegłych lat przyczyniło się wydatnie do tego, by mieszkańcy naszego miasta odsunęli się od teatru. Uciekali z Białegostoku też aktorzy, niechętnie podejmowali się pracy reżyserzy, czy scenografowie z innych ośrodków. Wszystko to już jednak przeszłość, choć niezbyt odległa.

Dyrektorowi Andruckiemu przypadła więc rola nie tylko dyrektora, czy reżysera, ale raczej restauratora, który by z powrotem sprowadził muzy do białostockiego ośrodka, który musi zlikwidować wiele niezbyt ciekawych zaszcisłości

i tworzyć teatr prawie od początku.

Pierwsza premiera, której z taką niecierpliwością oczekiwaliśmy dowiodła, że możemy spodziewać się, iż białostocki teatr pożegna się niedługo z opinią prowincjonalnego na pół amatorskiego kramiku ze sztucz-

kami. Sądzę, że zdobędzie sobie teatr nowych, wyrobionych widzów i choć być może znikną z widowni szkolne wycieczki (konserwatywna część grona nauczycielskiego nie będzie uczeni zachęcać do oglądania męskiego stripteasu) to jednak z pewnością widownia nie będzie świecić pustkami.

Zostawmy jednak białostocką reformę teatralną na boku i zajmijmy się wreszcie samą premierą. Nie znane mi są dokładnie plany repertuarowe białostockiej sceny, ale stwierdzam, że wybór „Prometeusza” Jerzego Andrzejewskiego na premierę inauguracyjną nowego sezonu jest z pewnością strzałem w dziesiątkę. W ubiegłą so-

botę mieliśmy bowiem okazję po wielu latach martwych przekonać się, że sztuka teatru jest nadal sztuką żywą, że nie tylko bawi i cieszy, ale także porusza, skłania do refleksji, zmusza do zastanowienia się nad sobą, społeczeństwem, światem.

„Prometeusz” Andrzejewskiego to sztuka polityczna, szalenie aktualna, choć autor wykorzystując antyczny mit ukształtował swych bohaterów jako ponadczasowe archetypy. Tym, którzy łatwo dają się złapać na lep słowa „poli-

Czego mam być pewny, gdy apokaliptyczna muzyka i gwizd karabinowej serii atakują moje uszy? Jak uporać się z własną bezsilnością gdy kraty oddzielają mnie od mego bohatera — rozmówcy?

Bogaty, bardzo bogaty w pytania jest ten spektakl. Wspaniale współgra z nim scenografia Mariana Fiszera. W tym momencie znówu ciśnię się na usta mała „historyczna” refleksja, widzowie białostockiego teatru przyzwyczaili się do oglądania dekoracji, scenografia, jako część teatral-

# Powtórka z myślenia

tyczna” chciałoby się tu uzupełnić: polityczna, lecz nie politykierska, odnosząca się do naszej teraźniejszości ale zarazem nie wydająca ocen, czy sądów, raczej skłaniająca do refleksji filozoficznej niż do krytycznych deklaracji. W swej werystycznej formie „Prometeusz” jest więc raczej filozoficznym dialogiem niż scenariuszem teatralnym i nie jest to z pewnością utwór, który inscenizatorowi poddaje się łatwo.

Tym większa więc chwala dyrektorowi Andruckiemu, że odważył się na adaptację „Prometeusza” na białostockiej pustyni, tym bardziej, że z zadania tego wyszedł zwycięsko. Spektakl przygotowany jest, chciałoby się rzec, z zegarmistrzowską dokładnością, trzymający przez cały czas widza w napięciu, zaskakujący mnogością umiejętnie wykorzystanych środków inscenizacyjnych.

Wyprowadzenie aktora z głębi sceny na widownię to pomysł niezbyt nowy, z powodzeniem wykorzystywany chociażby przez Swinarskiego czy Grotowskiego, szalenie bliski teorii Artoude, często robiony obecnie na prowincji jako tzw. chwytliwa nowinka, w tym przedstawieniu jednak doskonale spełniającą swą rolę. Widz czuje się uczestnikiem toczącego się dialogu, on sam zadaje pytania o sprawiedliwość, cierpienie, zło; zmuszony do wędrówki od aksjomatów wiary, przez racjonalizm, wydobywa ze swej pamięci obrazy męki Chrystusa, byronowski romantyzm, teorię Freuda i Haisenberga, by w końcu zapytać: kim jestem ja, w co wierzę, co mogę zrobić, co wiem?

nego dzieła rzadko miała okazję zaistnieć. Taka oszczędność środków: monumentalne potraskane kolumny — posągi służą również za trony mitycznych bóstw, a wszystko to uzupełnia współczesne, jakby wyjęte z obrazów głoszących atomową zagładę.

Doskonałym pomysłem było też sprowadzenie Haliny Winiarskiej, która zagrała rolę Temidy. Jest to z pewnością kreacja, która nie tylko pozostanie w pamięci widowni, ale także będzie się z pewnością liczyć w dorobku aktorki. Umiejętnie wywiązał się też ze swego zadania sceniczny Prometeusz czyli Rafał Zabiński. Na omawianie pozostałych kreacji miejsca mi po prostu zabrakło. W każdym bądź razie trzeba przyznać, że reżyser musiał włożyć wiele wysiłku w przygotowanie każdej postaci. Jedyne zastrzeżenia można było mieć do Grażyny Juchniewicz, której Atena wypadła blade, drobne potknięcia zdarzyły się też Danucie Kierklo. Darujmy jednak te drobne błędy. Nie to jest tu najważniejsze. Ważne, że doczekaliśmy się w Białymstoku prawdziwego teatru.

HANKA WARAKOMSKA



Halina Winiarska (Temida) i Rafał Zabiński (Prometeusz)



Nr 213 (612)

STRONA 7